

Bohdan

PETECKI



MESSIER 13

Bohdan Petecki

MESSIER 13

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-07-2

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1977

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Nie miałem pojęcia, jak trafiłem w to niesamowite miejsce, na zastanawianie się nie pozostało mi jednak bodaj ułamek sekundy. Jaskrawe chmury dymu, mięsiste i ciężkie, w nagłych wybuchach podobne do płonącej plazmy, otaczały mnie ze wszystkich stron. Nie widziałem drogi, którą przyszedłem, nie było jej już, czułem tylko ognistą otchłań ziejącą za załomem skały. Grube, próżniowe buty nie chroniły moich stóp przed żarem. Jeśli natychmiast nie trafię na półkę, a raczej nikłą szczerbę w bazaltowej ścianie krateru, która sprowadziła mnie na to dno piekła, będę mógł przestać się śpieszyć.

Raptem dym zaczął rzednąć. Chmury zawirowały i utworzyły na wprost mnie niewielkie, koliste okno. Ujrzałem rozległą płytę, jakby pogorzelisko pełgające pojedynczymi płomykami. Dym po obu stronach przybrał barwę jasnopomarańczową, rozognił się, przyszło mi na myśl, że tuż obok wschodzi przerażające, bliskie słońce.

Wtedy ujrzałem Annę. Stała na krawędzi owego pogorzeliska z twarzą zwróconą w moją stronę. Rozkrzyżowała ramiona, jak dzieci bawiące się w ptaki. Nie mogłem widzieć jej oczu ani ust, oślepiiony blaskiem rozpoznawałem zaledwie zarys jej głowy, przysiągłbym jednak, że się uśmiecha. W tym samym momencie poczułem w gardle gryzący smak wulkanicznych wyziewów. Pomyślałem, że w skafandrze powstała jakaś szczelina. Ale to nie miało już znaczenia.

Odwróciła głowę i wtedy spostrzegłem, że nie jest sama. Kilka metrów za nią widniała drobna sylwetka mojej matki, a kiedy się w nią wpatrzyłem, tuż za nią wyrosła postać ojca. Równocześnie z nim pojawił się Rud, w zwykłym treningowym dresie, niedorzecznym w tym przeklętym miejscu. Ostatni raz byliśmy w klubie... zaraz, ile to już lat?...

Nonsens. Cóż za nonsens. Przecież...

Anna poruszyła się. Zrobiła krok w moją stronę i skinęła ręką. Napiąłem mięśnie do bólu, próbując oderwać stopy od skały. Na próżno. Otworzyłem usta, żeby zawołać i w tym właśnie momencie płonąca płyta pękła jak cienka warstwa szkła. Tuż przede mną otworzyła się przepaść, trysnął płomień, a z nim rozpalone strzępy skorupy globu, który z całą pewnością nie mógł być Ziemią. Kiedy po chwili któraś z gwałtowniejszych erupcji przepędziła na mgnienie zwały dymu, Anny już nie było. Gdybym zrobił ten krok w jej stronę...

Nigdy się nie dowiem, czy chciała mnie ostrzec, czy też przyzywała mnie do siebie tam, gdzie była tylko niezgłębiona, ognista czeluść. Usłyszałem dźwięk, który pogrążył mnie w nagłej ciemności. Krater, dym, płomienie, wszystko to znikło jak zdmuchnięte. Jakieś odległe, śpiewne nawoływanie. Zacerpnałem bezwiednie powietrza i nie bez pewnego wysiłku otworzyłem oczy.

Sny. Nawiedzają mnie sny. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Teraz, kiedy śpiąc czy czuwając, w działaniu i najgorszym ze wszystkiego oczekiwaniu muszę panować nad każdym moim gestem, słowem, każdym uczuciem. Kiedy nie wolno mi dopuszczać do siebie załążka jakiegokolwiek myśli, nie przesączonej uprzednio przez filtr zakodowanych w mej pamięci informacji, skupionych i uporządkowanych tak, aby służyły jednemu celowi. W razie potrzeby moja pamięć może, a nawet powinna, uciec się do pomocy sprzężonej z nią aparatury. Ale w tej aparaturze nie ma danych, dotyczących mojej przeszłości. Nie ma wzmianki o katastrofie lotniczej, która w ułamku sekundy pozostawiła mnie samego na świecie. Nie ma myśli, które mnie nachodziły, kiedy czekając na dworcu, skąd mieliśmy wszyscy razem pojechać na urlop, ujrzałem daleki błysk eksplozji i ohydny, tępy grzmot, w który natychmiast wmieszały się syreny pogotowia. O ratunku nie mogło być mowy i wiedziałem o tym na długo przedtem, zanim podeszli do mnie pracownicy linii lotniczej, smutni i zakłopotani, by poprosić mnie „na rozmowę” do gabinetu ich szefa. Nie poszedłem

tam wtedy i nie poszedłem także na symboliczny pogrzeb, jaki z wielką pieczołowitością zorganizowało miejscowe koło pilotów. Symboliczny, oczywiście, bo ciała ofiar...

Dosyć. Inaczej okazało się, że wątpliwości Bessa, kiedy przyszedłem do niego prosić o przeniesienie do grupy operacyjnej, nie były tak bezsensowne, jak wtedy myślałem. Niczego, rzecz jasna, nie powiedział wprost. Jednak tak długo kluczył, aż w końcu sam spytałem, czy przedstawi mój wniosek Centrali, czy też boi się, że chcę przejść do „Trójki” pod wpływem chwilowego załamania, spowodowanego osobistymi przejściami, i woli nie mieć z tym nic wspólnego. Nie czekając na odpowiedź, z którą się zresztą nie kwapił, zapytałem jeszcze, czy jego zdaniem przesłanki mojej decyzji będą mieć jakiegokolwiek znaczenie, skoro już znajdę się w grupie operacyjnej i otrzymam konkretne zadanie. Przemilczał i to. Delikatność nie była cechą, która go wyróżniała wśród pozostałych funkcjonariuszy SAO. Żaden z nas nie był delikatny. Taka praca.

Na zakończenie naszej pierwszej rozmowy powiedziałem, że wrócę do niego za tydzień i nie żegnając się wyszedłem. Może to poskutkowało, a może go jednak przekonałem, bo trzy dni później dostałem wezwanie. Następnego ranka zlikwidowałem swoje sprawy w biurze sztabu Słonecznej Agencji Obrony i przeniosłem się na poligon u południowych podnóży Atlasu. Tam z teoretyka, opracowującego zbiorcze dane, sprawdzającego sprawozdania i dorabiającego od czasu do czasu ideologię do działalności SAO, w czasie kolejnych kampanii prasowych inspirowanych przez naukowców, przeobraziłem się w praktyka. Zostałem agentem, jednym z tych, którzy dotychczas stanowili dla mnie bezimienną rzeszę funkcjonariuszy, rozsianych po niezliczonych bazach i stacjach pozaziemskich, a kojarzących mi się jedynie z sygnaturą informacji, wnoszonych w przystawki pamięciowe sekcyjnych komputerów i zapisywanych po selekcji w centralnym archiwum.

Nie byłem nowicjuszem. Oszczędzono mi testów socjologów, psychologów i specjalistów od procesów przystosowawczych. Przeszedłem zaledwie skrócony kurs taktyki i dwa staże, na Ganimedzie oraz w laboratorium galaktycznym Spi – 11, tym samym, które czterdzieści lat temu jako pierwsze odebrało sygnały płynące z kierunku skupiska Messier 13. A teraz leciałem już w stronę gwiazd, w stronę tej trzynastki z katalogu średniowiecznego astronoma, autora pierwszego rejestru obiektów mgławicowych. Cel mojej podróży nie był jednak aż tak bardzo odległy. Na skraju sąsiedniej galaktyki czekała na mnie czwarta planeta Millsa, słońca niezbyt różniącego się od naszego, nazwana „Petty” na cześć jej odkrywców: Peterssena i Tytkina, i od kilkunastu lat goszcząca uczonych z Ziemi. Uczonych, a także takich jak ja. Chociaż ci ostatni przebywali nie na samej planecie, tylko na jednym z jej satelitów.

Dźwięk, który przepędził dręczące mnie sny i skłonił do otwarcia oczu, trwał nadal. Był to jakby cichy śpiew jednej napiętej struny. Upłynęło jeszcze kilka sekund, zanim zrozumiałem, co ten dźwięk oznacza. Statek wychodził z czarnego korytarza czasowego. Wracaliśmy do świata naszych niedoskonałych zmysłów, nawet jeśli był to świat próżni.

Powinienem teraz położyć się na wznak i leżeć bez ruchu, czekając, aż ucichnie ostrzegawczy sygnał. Cóż, kiedy od kilku godzin nie robiłem niczego innego. Spałem, zamiast czekać do pokładowej nocy. Więc teraz, na odmianę, postanowiłem wstać.

Od trzystu bez mała lat wiedziano o istnieniu w przestrzeni superwielkich pól grawitacyjnych, które początkowo kojarzyły się astronomom jedynie z tak zwanymi Czarnymi Dziurami. Kiedy dwa wieki temu Vivien ogłosił swoją teorię, ostatecznie zamykając spekulacje na temat Einsteina w ten sposób, że nowy dział matematyki wchłonął po prostu całą geometrodynamikę z jej ultrateorią względności jako pewien szczególny przypadek, stało się jasne, że zjawiska towarzyszące owym polom umożliwią ludziom podróżowanie przez galaktyki z szybkością teoretycznie nieskończoną. Pierwsze statki wykorzystujące sztuczne pola grawitacyjne, wytwarzane we własnych siłowniach, powstały zaledwie pięćdziesiąt lat później. Od stu lat metagalaktyka stoi przed ludźmi otworem. Do

układu odległego, dajmy na to, o dwadzieścia cztery tysiące lat świetlnych, można się przenieść w ułamku sekundy, doliczając jedynie czas potrzebny na dojście do miejsca, w którym przepisy pozwalają już stymulować superwielkie pola grawitacyjne. Nie wolno bowiem wchodzić w czarne korytarze przed apheliami komet systemu słonecznego i nie wolno ich opuszczać później, aniżeli w analogicznej odległości od docelowej gwiazdy. Inaczej mówiąc, w ten sposób można podróżować tylko do miejsca, którego współrzędne dają się przed startem obliczyć bardzo dokładnie i które jest dostatecznie znane, aby nie zaskoczyć pilotów warunkami, uniemożliwiającymi nawigację. Przecież po wyjściu z czasowego korytarza załoga nie znająca parametrów celu znalazłaby się w sytuacji o wiele gorszej niż starożytni żeglarze, którym na oceanie burza zmiotła za pokład wszystkie urządzenia pomiarowe i mapy, a na dodatek strzaskała maszty i ster. Ziemskie urządzenia, jak chociażby chronometry czy sieć informatyczna, przestają w trakcie takiej podróży funkcjonować. Każda informacja, płynąca czy to przez włókna nerwowe człowieka, czy też przez sztuczne nerwy stworzonych na miarę naszych pojęć automatów, potrzebuje czasu. A ten czynnik w czarnych korytarzach nie istnieje. Bez zakodowanych ścisłych danych, dotyczących celu podróży, ludzie nie mieliby najmniejszych szans już nie tylko powrotu, ale bodaj dotarcia do jakiegokolwiek systemu słonecznego.

Statek, na pokładzie którego się znajdowałem, siedł torem wielokrotnie sprawdzonym nie tylko w obliczeniach, ale i w praktyce. Drogę z Ziemi na Petty pokonywał chyba po raz dziesiąty. Zawoził tam aparaty i uczonych, historyków, archeologów, egzobiologów, a przywoził z powrotem innych. Nie było mowy o jakiegokolwiek pomyłce. Tyle tylko, że sygnał oznajmiający wyjście z czarnego korytarza zabrzmiał, jak wynikało z cyferek, które wyskoczyły na tarczę mojego podręcznego kalkulatora, o dobre ćwierć miliparseka wcześniej, niż należało.

Od stu lat metagalaktyka stoi przed ludźmi otworem. Spenetrowaliśmy spory szmat przestrzeni, znajdując miliony światów, o których miliony ludzi napisało prace doktorskie. Nie znaleźliśmy jednego: cywilizacji. Przynajmniej tak długo, aż wysłana w kierunku Messier 13 ekspedycja przypadkiem nie napotkała na swojej drodze układu Millsa, a w nim planety pływającej się niemal w samym centrum słonecznej ekosfery. Na tej planecie istniało życie. Istniała także wysoko rozwinięta cywilizacja. Niegdyś. To znaczy pozostały po niej urządzenia i budowle. Nie pozostał żywy świadek dawnej świetności. Czyli kolejna porażka apostołów Kontaktu, a nieoczekiwany raj dla archeologów. Oni to właśnie zaanektowali planetę i władali nią niepodzielnie do dnia dzisiejszego.

Tak im się przynajmniej zdawało. W rzeczywistości od pierwszej chwili pozostawali pod dyskretną opieką SAO, naszej stacji, założonej na księżycu Petty. Nie sposób było przecież pozostawić naukowców samopas, zagubionych w przestrzeni. Zbyt byli złaknieni owego Kontaktu i na skutek tego, jak zwykle, nieodpowiedzialni. O istnieniu naszej agentury na satelicie nie wiedzieli lub udawali, że nie wiedzą. To jednak było nam obojętne.

Pierwsze sygnały o niewyjaśnionych zjawiskach, zaobserwowanych przez uczonych, badających Petty, dotarły do naszej Centrali mniej więcej miesiąc temu. Ktoś zauważył pojawiające się nad horyzontem świetlne spirale, kilku archeologów widziało na własne oczy niewielkie obiekty latające, a pilot bazy zameldował, że w czasie jednego z lotów patrolowych spostrzegł zainstalowane na ziemi silne reflektory, w miejscu oddalonym od stanowisk badawczych, a więc i ludzi, o kilka tysięcy kilometrów. Wtedy stacja SAO na satelicie Petty urosła nagle do rangi kluczowej placówki Agencji. Natychmiast wyruszyła tam silna ekipa, która miała wzmocnić dwuosobową dotąd załogę. Na czele ekspedycji stanął sam Bess. A ja wtedy właśnie otrzymałem pierwsze zadanie, po odejściu zza biurka. Używając sobie tylko wiadomych sposobów, kierownictwo „Trójki” umieściło mnie w załodze statku, który wiozł na Petty kolejną zmianę naukowców. Leciałem jako fotonik, specjalista w zakresie pomiarów metodą cięciwy ujemnej. No cóż, na tym istotnie znałem się coś niecoś. A

ponieważ pomiarowiec był na Petty potrzebny właśnie z racji owych niewyjaśnionych zjawisk, więc w uzasadnieniu mojej obecności na pokładzie kryła się nawet cząstka prawdy. Cząstka, oczywiście. Całej prawdy nie musieli znać.

Podniosłem się i wyprostowałem. W oczach mi zawirowało, musiałem szybko oprzeć się dłonią o ścianę kabiny. Tak, latamy w ten sposób od stu lat, ale nikt nie zdołał jeszcze wymyślić skutecznej ekranizacji, zabezpieczającej ludzi przed skutkami przechodzenia przez supersilne pola grawitacyjne, chociażby wytwarzane w siłowniach ich własnych statków. Były obojętne dla zdrowia, ale odbierały zdolność ruchu i paraliżowały procesy myślowe. Wszystkim pilotom i załogom, poza nami. My nie mogliśmy sobie pozwolić na ryzyko sekundowego choćby braku kontaktu myślowego z otoczeniem. Dlatego Akademia Techniczna SAO wykombinowała nam specjalnie uzupełnioną osobistą aparaturę korekcyjną. Reszta była sprawą odpowiedniego przeszkolenia i treningu.

Przebiegłem palcami po klawiszach, wbudowanych w czerwoną płytkę wszytą w ramię mojego skafandra i poczułem się lepiej. Ostrzegawczy sygnał dźwięczał w dalszym ciągu. Jeśli mam być zwykłym członkiem załogi, nie mogę zdradzić, że wychodzenie z czarnego korytarza jest dla mnie mniej kłopotliwe niż dla reszty. Ale spałem dostatecznie długo. Spałem i miałem sny. Potrzebowałem ruchu. Potrzebowałem widoku ludzi. Nie chciało mi się czekać. Poza tym pozostawała sprawa owego przedwczesnego powrotu do lotu czasowego. Z tym, niezależnie od moich psychicznych stanów, nie powinienem zwlekać.

Wyszedłem na korytarz. Światła były wygaszone, tylko ściany promieniowały nikłą, matową poświatą. Przystąpiłem wysoki próg owalnych drzwi, przypominających właz do starych rakiet i znalazłem się w dyspozytorni. Tak nazywaliśmy największąabinę, gdzie spotykaliśmy się w czasie wolnym od zajęć, aby posłuchać muzyki, zjeść coś lub chociażby pogawędzić. Do tego ostatniego mnie przynajmniej nie było śpieszno, musiałem jednak chęć nie chęć zachowywać się jak pozostali. A ci byli aż nadto towarzyscy. Z sześciu osób załogi, włączając w to pilotów, pięcioro leciało na Petty po raz pierwszy. Rozpierała ich duma i ciekawość. Palili się do swoich koparek i analizatorów, ale bardziej jeszcze do piastowanej w myślach wizji spotkania z obcą cywilizacją, do czego, rzecz jasna, nie przyznawali się sami przed sobą, rozmawiając wyłącznie o fachowej stronie wykopalisk. Nie potrafili się jednak maskować, w każdym razie nie przede mną. Z nagłych zamyśleń, półsłówek, odruchowych gestów, kiedy rozmowy dotyczyły przypadkiem owych zaobserwowanych ostatnio niewyjaśnionych zjawisk, można było bez trudu wyczytać, że każdy z nich składa w marzeniach kolejne ofiary bóstwu Kontaktu. No cóż, uczeni...

W momencie, w którym przekroczyłem próg dyspozytorni, ostrzegawczy świergot umilkł, jak ucięty nożem. Dzięki temu moje pojawienie się wypadło bardziej naturalnie, niż przewidywałem. Nie musiałem uciekać się do opowieści o rzekomym złym samopoczuciu, którą sobie przygotowałem, idąc korytarzem.

– Cześć – mruknąłem, kierując się w stronę wolnego fotela pod prostokątnym ekranem, imitującym okno. Za nim rozpościerała się, przesztyta nierównymi złotymi ściegami, wieczna czerni próżni. Ekran rozcieńczał tę czerni granatem, upodabniając nieboskłon do ziemskiego. Może było im to potrzebne.

Warda zwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się. Natychmiast jednak spowaźniał i, unosząc porozumiewawczo brwi, położył palec na ustach. Przyjrzałem mu się, po czym przeniosłem pytający wzrok na siedzącego przed pulpitem łączności Barcewa. Ten obdarzył mnie tylko przelotnym spojrzeniem, wskazując brodą płonące przed nim sygnalizacyjne światelka. Podeszedłem bliżej i stanąłem za jego plecami.

– Co się stało? – spytałem, udając, że nie dostrzegam, jak bardzo jest zajęty.

Dłuższą chwilę kazał mi czekać na odpowiedź. W końcu potrząsnął głową i spojrzał na mnie ponownie. W jego wzroku malowało się napięcie.

– Za chwilę nam powiedzą – mruknął. Postukał wskazującym palcem w krawędź pulpitu i dodał: – Zamfi i Leski są przy sterach. Prosili, żeby im nie przeszkadzać. Robią obliczenia. Jak tylko coś będą wiedzieli... – zawiesił głos.

Obejrzałem się na Wardę. Ten pochwycił mój wzrok i milcząc wskazał mi fotel, do którego przed chwilą zmierzałem. Tym razem skorzystałem z zaproszenia.

– O co chodzi? – spytałem ponownie, przyciszonym głosem, żeby okazać moją dobrą wolę. – Dlaczego zbudzono nas tak wcześnie?

Warda uśmiechnął się i przechylił w fotelu, zbliżając głowę do mojego ramienia.

– Powiedzieli tylko, że nic groźnego – odrzekł szeptem. – Wygląda na to, że otrzymali jakąś wiadomość albo że tachdar wykrył przed nami jakiś... jakieś promieniowanie – dopowiedział po chwili bez przekonania. Przysiągłbym, że miał na końcu języka słówko „obiekt”. Tachdar wykrył obiekt. Tak, żaden z nich nie przestaje o tym marzyć. I żadnemu nie przyjdzie na myśl, że dla Ziemi takie spotkanie wcale nie musi oznaczać błogosławieństwa. Że mogłoby być wręcz przeciwnie.

– Nic więcej nie wiadomo? – rzuciłem obojętnym tonem, myśląc, że powinienem się zorientować, o co właściwie chodzi, i to szybko. Zanim palną jakieś głupstwo... gdyby rzeczywiście coś tam przed nami było. Chociażby tylko promieniowanie czy wiązka fal, a więc coś, co tak czy owak niesie interesujące, być może, informacje.

Westchnął. Przyglądał bujną jasną czuprynę i wrócił do poprzedniej pozycji.

– Obiecali dać znak, kiedy tylko sprawdzą obliczenia – powiedział z żalem. Nawet i on. Nestor egzobiologów... jeszcze mój ojciec chodził na jego wykłady. Ojciec...

– Mamy kontakt z Petty? – spytałem szybko.

Potrząsnął głową.

– Nie – odrzekł. – To znaczy nie mieliśmy go jeszcze minutę temu – poprawił się. – Powinniśmy być teraz w korytarzu – dodał tonem wyjaśnienia.

Wstałem. Przeciągnąłem się niedbale i wolnym krokiem skierowałem się ku drzwiom. Warda odprowadził mnie zdziwionym spojrzeniem. Nie zauważyłem tego. Na progu omal nie zderzyłem się z Laną i musiałem stanąć, żeby ją przepuścić. Była w cieniusieńkim, piankowym kombinezonie i sprawiała wrażenie osoby tylko co wyrwanej ze snu. Zapewne tak właśnie było. Nie zdążyła spojrzeć do lustra. Nie pomyślała, jak wygląda. Kasztanowe włosy, zwykle ułożone w miękkie fale, piętrzyły się na jej głowie jak wiecha. Nie znaczy to, że były brzydkie. Ani, że raził mnie ten jej kombinezon, nie zakrywający niczego. Pomyślałem tylko, że naukowiec znajdujący się tysiące lat świetlnych od swojej sypialni na Ziemi, nie powinien tak wyglądać. Pomyślałem także, że nie dziwię się Barcewowi, który w jej obecności przeobrażał się niezmiennie w zafrasowanego wyrostka o nieskoordynowanych ruchach i zmętniałym nagle wzroku, pomimo że był już powszechnie uznawanym autorytetem w dziedzinie wczesnych kultur amerykańskich i jednym z filarów Instytutu Archeologii Przedatlantyckiej. Ile mógł mieć lat? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? W każdym razie wyglądał na młodego sportowca u szczytu formy i był kawalerem.

– Jesteście tu? – spytała zdyszonym głosem. – Czy coś się stało? – omiotła nas rozgorączkowym spojrzeniem. – Przeliczyłam sobie dane i chyba za wcześnie wyszliśmy z korytarza?...

– Spokojnie – mruknąłem, uśmiechając się. – Czekamy na wiadomość ze sterowni. Oni także sprawdzają dane... a zdaje się, że mają co sprawdzać... dość nieoczekiwanie. W każdym razie nic poważnego – dodałem uspokajająco, usiłując ją ominąć. Zatrzymała mnie, dotykając dłonią mojego ramienia.

– Dokąd idziesz? – spytała zdumiona. – Jak to nieoczekiwanie? – powtórzyła bezradnie. – Jakaś wiadomość?

Barcew wstał i posunął się kilka kroków w naszą stronę. Następnie stanął i demonstracyjnie odwracając wzrok od kombinezonu Lany zwrócił spochmurniałą nagle twarz w moją stronę.

– Zaraz będzie komunikat – burknął lodowatym głosem. – Na razie nic więcej nie wiemy...

Zdecydowanym ruchem oswobodziłem ramię i odsuwając delikatnie rękę kobiety wyszedłem na korytarz. Minąłem wnękę rezerwowej aparatury informatycznej, włączyłem do szybu prowadzącego ku maszynowni i zatrzymałem się przed stalowymi drzwiami, zabezpieczonymi gęstą siecią przewodów ekranizujących. Pomyślałem chwilę, po czym odryglowałem skomplikowany zamek i wszedłem do środka.

Na wprost drzwi, przed wielkim, panoramicznym ekranem tkwił nieruchomo Zamfi. Sponad oparcia fotela mogłem widzieć tylko czubek czarnej głowy. Nie poruszyła się, kiedy wszedłem. Z pewnością nie dosłyszał nawet dźwięku magnetycznego zamka. Rozgwieżdżona czerni próżni przed jego oczami przemieszczała się w pionie, pomiędzy mnogością falujących nieregularnie świetlnych linii. Zrozumiałem, że komputer nanosi na ekran dane otrzymywane w wyniku obliczeń, nadzorowanych przez Leskiego. Ten ostatni siedział po przeciwnej stronie kabiny, mając przed sobą szeroki, łukowaty pulpit głównego komputera statku. Jego dłonie wisiały nieruchomo nad klawiszami. Także i on nie zdradził najmniejszym gestem, że zauważył moje wtargnięcie do sterowni, które bądź co bądź stanowiło jaskrawe naruszenie przyjętych zwyczajów. Nie wolno przeszkadzać nawigatorom, nie tylko w momentach, kiedy dzieje się coś szczególnego. Dyżur to rzecz święta. Co dopiero, kiedy statek na skutek jakichś niespodziewanych komplikacji przedwcześnie wychodzi z czarnego korytarza.

Przeszedłem na środek kabiny i zatrzymałem się. Przez chwilę patrzyłem w ekran, usiłując wywnioskować coś z przemarszu danych liniowych, po czym przypadkiem mój wzrok padł na prostokątny wskaźnik teleranu. Przez środek tarczy biegła wyraźna, zielona kreska. Petty prowadzi już statek do celu. A więc wszystko w porządku. Skąd w takim razie całe to poruszenie? I dlaczego nasza szybkość spadła niemal do zera, co zauważyłem ułamek sekundy po zlustrowaniu teleranu?

Ponownie wróciłem spojrzeniem do ekranu i nagle coś zaczęło mi świtać. Nie bawiąc się już w ceregiele podszedłem szybko do Leskiego i stanąłem tuż za jego plecami.

– Co się tu dzieje? – spytałem głośniejszym głosem, niż było trzeba. – Dlaczego stoimy?

To jeszcze mogłem zrobić. Udać ciekawskiego.

Leski drgnął. Szybko odwrócił głowę i ukazał mi swoją opaloną na ciemny brąz twarz. Malowało się na niej zdumienie, ale i nieukrywane podniecenie. Była w nim gorączka oczekiwania. Poddał się jej do tego stopnia, że nie pomyślał nawet o mojej niewczesnej obecności w sterowni.

– Zaraz zobaczymy... – powiedział drżącym z emocji głosem. – Właśnie kończę obliczanie toru...

Tego nie musiał mi mówić. Sam zauważyłem, że naprowadzają statek na cel. Tylko że w promieniu milionów kilometrów nie powinno być żadnego celu, który mógłby nas zainteresować. W ogóle żadnego celu.

– Meteoryty? – spytałem, udając w dalszym ciągu – czy jakaś wiązka promieniowania?

– Zobaczysz... – powtórzył obiecującym tonem i wrócił do swojego pulpitu, zapominając o moim istnieniu.

Mogłem mieć jeszcze nadzieję, że chodzi o jeden z tych niezmiernie rzadko spotykanych w przestrzeni zabłąkanych okruchów globów, rozpylonych w kosmicznych katastrofach. Musiałby to jednak być odłamek metaliczny, co było wprawdzie też niewykluczone, ale bardzo mało prawdopodobne. Czujniki ferroindukcyjne nie pozostawiały wątpliwości co do struktury wędrującego na torze naszego lotu ciała. Jeżeli jednak będzie to coś, co żadną miarą nie powinno się tutaj znajdować, moja pierwsza misja agencyjna skończy

się wcześniej, aniżeli ktokolwiek mógł przypuszczać. Na dobrą sprawę wcześniej, zanim się zaczęła.

Na razie pozostało mi tylko czekać. Odruchowo dotknąłem palcami ukrytej w moim rękawie specjalnej tabliczki łączności, która w każdej chwili mogła mi zapewnić kontakt z bazą SAO na satelicie Petty, po czym wróciłem do zamkniętych drzwi i oparłem się o nie plecami. W sterowni nie było trzeciego fotela.

Nie kazali mi czekać długo. Po upływie pięciu czy sześciu minut Zamfi wydał cichy, krótki okrzyk. Linie na głównym ekranie znieruchomiały. Leski mruknął coś niezrozumiale, po czym wstał szybko i zbliżył się do tablicy analizatora. Stał przed nią jakieś trzydzieści sekund, kiwając głową, jakby chciał powiedzieć, że aparatura spełniła wszystkie jego oczekiwania, a następnie podszedł do pulpitu łączności. W ostatniej chwili zdążyłem zastąpić mu drogę.

– Co to jest? – spytałem tonem, który mnie samemu wydał się odrobinę zbyt agresywny. – I co masz zamiar zrobić?

Leski znieruchomiał. Bardzo powoli uniósł głowę i zmierzył mnie zdumionym spojrzeniem, jakby dopiero w tym momencie dotarło do niego, że tutaj jestem. Stopniowo zdziwienie w jego wzroku zaczęło ustępować wyrazowi niechęci, a jeszcze później wrogości. Podniecenie, wywołane dokonaniem tylko co odkryciem, zniknęło bez śladu. Pozostało rozczarowanie i niesmak. Nie mogłem mu odmówić jednego. Refleksu. Domyślił się od razu. No cóż, ostatecznie był obeznany, z przestrzenią i obowiązującymi w niej regułami. A nikt inny nie mógł użyć takiego tonu, jakim posłużyłem się przed chwilą. I nikt inny nie wtargnąłby w krytycznym momencie do sterowni.

– Ty... – wykrztusił. Jego oczy uciekły z mojej twarzy i skierowały się w stronę Zamfiego. Ten siedział jak skamieniały, ciągle jeszcze trzymając palce na wygasłych już klawiszach, ciągnących się długim szeregiem pod dolną krawędzią ekranu.

Skinąłem głową.

– Tak – potwierdziłem spokojnie. – Przykro mi, Leski, ale muszę wiedzieć, o co chodzi i co zamierzacie zrobić. To jest sztuczne, prawda?

Ponownie posłał krótkie spojrzenie Zamfiemu, jakby wzywał jego pomocy, po czym odwrócił się i znieruchomiał.

– Jestem z „Trójki” – powiedziałem ciągle jeszcze spokojnie. – Czy muszę Wam mówić? I czy naprawdę chcecie, żebym zabrał się do sprawy tak, jak to przewidują moje instrukcje? Ich autorzy dobrze się nad nimi nagłowili... powinniście uszanować ich pracę. Ja w każdym razie będę to musiał zrobić. Chyba że dojdziemy do porozumienia...

Cisza. Odczekałem jeszcze minutę, zanim użyłem mojego nadajnika. Posłużyłem się, rzecz jasna, kodem, który był jednak dostatecznie zrozumiały dla laików, żeby przynajmniej w tej konkretnej sytuacji nie pozostawić im wątpliwości.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Równocześnie sygnał bazy na Petty zniknął z tarczy telerału jak zdmuchnięty. Kontrolę nad statkiem przejęła stacja SAO na satelicie. Mogli to zrobić z każdą jednostką w swoim rejonie. Inaczej mówiąc w tym momencie statek i jego załoga znaleźli się w sytuacji przymusowej. Musieli mnie słuchać, jeśli chcieli odzyskać kierunkowy sygnał docelowej bazy i zdolność nawigacji.

– W porządku – powiedziałem, stając znowu za plecami Leskiego. – A teraz przestańcie bawić się w ciuciubabkę. Nie chciałem wam sprawiać przykrości, ale mam swoją robotę. I muszę ją wykonać, podobnie jak wy wykonujecie swoją. A więc...

– Robotę! – przerwał mi pogardliwym parsknięciem Zamfi. – Słoneczna Agencja Obrony – dodał z naciskiem. – Też mi robota. Gdyby któryś z was pomyślał choć przez chwilę, przed czym właściwie chcecie bronić nasz mały świat! A raczej co mu chcecie odebrać!

– Uspokój się – przemówił wreszcie Leski – szkoda słów. Oni nie myślą. Oni wiedzą. To znaczy tak im się wydaje. Dobrze więc – odwrócił lekko głowę, ukazując mi profil twarzy, co miało oznaczać, że zwraca się teraz bezpośrednio do mnie. – Mamy przed sobą nie zidentyfikowany obiekt nie będący dziełem natury. Zrównaliśmy szybkości i podchodzimy do niego... do spotkania dojdzie za... – przerwał i omiół wzrokiem wskaźniki – mniej więcej dziesięć minut. Nie bój się – ciągnął z przekąsem – nie mieliśmy zamiaru do niego dobijać. Chcieliśmy wysłać sondę...

– Z załogą? – przerwałem pytaniem.

Zachnął się, ale natychmiast wrócił do równowagi.

– A wy posłalibyście automaty? – odpowiedział również pytaniem.

Wiedziałem już dość. Wiedziałem, także, co powinienem zrobić, zanim jeszcze odezwał się mój aparacik, przekazując mi zakodowaną instrukcję.

– A więc tak właśnie zrobisz – odrzekłem Leskiemu. – Wyślesz sondę. Załodze powiesz, że spotkałeś meteoryt... pozagalaktyczny. I dodasz, że nawigatorzy na Petty nie dali wam zgody na przerwę w locie. Wybierzesz sondę uzbrojoną... jeśli wiesz, co mam na myśli. Jesteście przyjacielsko nastawieni do wszystkich możliwych światów, ale jednak macie takie sondy na pokładzie. Odżalujesz jedną, bo nie będziesz czekał na jej powrót. Nie muszę dodawać, że polecą w niej nie tylko automaty... i kto z nas mianowicie będzie się nimi opiekował. Jeżeli nie znajdę tam nic takiego, czym musielibyśmy się zainteresować, odeślemy wam ten wasz obiekt na Petty cały i z nienaruszoną zawartością. Jeżeli natomiast...

– Jeżeli – wpadł mi w słowo Zamfi – jest tam ktoś żywy, to przynajmniej od razu pozbędzie się złudzeń co do napotkanej cywilizacji – jego głos był zdławiony gniewem. To co powiedział, mogło wyglądać na ironię, gdyby udało mu się zamaskować uczucie żalu. Mogłem go zrozumieć. Ale nie chciałem. A poza tym nie mogłem. Tak jak powiedziałem, każdy z nas miał swoją robotę...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI